

## **NIE PŁACZ, MAMO c.d.**

Zbliżało się Boże Narodzenie. Bliskość tego święta, jak daleko sięgam pamięcią, zawsze wywoływała w naszym domu niepowtarzalny, jedyny w swoim rodzaju nastrój radosnego podniecenia. Wszystkich, poza małuchami, ogarniała chęć robienia domowych porządków, niesienia mamie pomocy w przygotowaniach kulinarnych, uzupełniania choinkowych ozdób, na które składały się własnoręcznie wykonywane łańcuszki z kolorowego papieru, słomiane pajęczki, koszyczki, pajacyki i inne fikuśne różnorodności z marszczącej bibuły. Przeżyłbym wyprawę do lasu po okazałego chojaka, który osadzony później na krzyżakowej podstawie, wniesiony do mieszkania i przybrany jak trzeba – połyskiwał całą gamą ozdóbkowych barw, wypełniając żywicznym zapachem nie tylko pokój, gdzie ustawialiśmy choinkę, lecz wszystkie izby i zakamarki domu.

Teraz czas przedświątecznej krzątaniny nie przyniósł ze sobą takich samych doznań i przeżyć, co dawniej. Powrześniowa rzeczywistość zupełnie zniweczyła owo radosne podniecenie. Na domiar złego pojawiły się kłopoty zaopatrzeniowe. Prawie był już wyczerpany, co martwiło zapobiegliwą mamę, skromny zapas cukru, soli, zapalek, cykorii i niektórych przypraw kuchennych. Kończyła się nafta do dwóch lamp i do latarni potrzebnej przy wieczornych obrządkach gospodarskich. Wczesne zawieje i zasy na drogach utrudniały dowóz towaru do sklepu „Kooperatywy” w Łobaczówce. Brakowało jeszcze najważniejszego –

opłatka. Zaginął słuch o księdzu Kobylińskim, nikt nie wie, gdzie się zapodział, a to on zawsze przywoził opłatek i zapowiadał terminy chodzenia po kołodzie.

Ojciec zdecydował się na wyprawę do Beresteczka. Zakup nafty i może czegoś jeszcze w tamtejszych sklepach oraz nabycie opłatka u księdza proboszcza Zwolińskiego – to jedna sprawa do załatwienia. Chodziło ojcu również, jeżeli nie przede wszystkim, o odnowienie kontaktów z dobrymi znajomymi, aby w rozmowach po drodze i w samym Beresteczku czegoś się dowiedzieć. Mam też jechać nie tyle do towarzystwa, co pilnowania koni i sań, kiedy tato będzie czynił sprawunki.

Czekała nas trudna podróż. Jazda do gminy w porze letniej, bryczką lub wozem, była dla mnie i rodzeństwa największą przyjemnością. W sumie blisko trzydzieści kilometrów w obie strony. Krętymi drogami po urozmaiconym, falistym terenie, parę razy na przemian pod górkę i z górkę. Mijało się trzy wsie, a między nimi pola i lasy. Podczas upalnego dnia ochłodę i wytchnienie dawał postój w leśnej gęstwini, pełnej jagód i grzybów. Co innego zimą. Podmuch silniejszego wiatru tworzył na drodze śnieżne zasy nie do przebycia. Bywało, że komunikacja zamierała na całe tygodnie. Tej zimy jeszcze do tego nie doszło. Ale śnieg pokrył już pola i przy lada wietrze tarasował drogi. Siarczysty mróz dawał się we znaki zwłaszcza w pogodne, roziskrzone gwiazdami noce.

Wyruszyliśmy przed świtem.

Szczęśliwie ominęła nas większa zawięja. Jednak na nie przetartej jeszcze drodze śnieg miejscami sięgał koniom po same brzuchy. W takich miejscach spocone gniade z ledwością ciągnęły sanie. Trzeba było dać im krótki popas na ósmym kilometrze w niemieckiej kolonii o nazwie Zielona. Właśnie za-  
leżało ojcu na pogadaniu z Niemcami, których przodkowie osiedlili się tutaj jeszcze za dawnych carskich czasów. Zamożny gospodarz Wolf, do którego wstąpiliśmy mocno zmarznięci, okazał dawną gościnność, poczęstował nas gorącym mlekiem i smażoną jajecznicą, ojca wciąż tytułował: panie wójcie, lecz wyczuwało się, że jest ostrożny i wstrzemięźliwy w odpowiedziach na pytania, jakie mu ojciec zadawał. Złego samopoczucia w tym domu, jakiegoś szczególnego podniecenia czy niepokoju, zauważyć nie było można. Raczej przeciwnie. Gospodarz nie omieszkiał pochwalić nowe tutejsze władze za dobre traktowanie ich, Niemców, zwłaszcza za dogodne ceny oferowane przy odstawach zboża i żywca, a także za nieco obniżony wymiar podatku gruntowego w porównaniu z podatkiem wpłacanym dotychczas do polskiej kasy. Jednocześnie w słowach gospodarza znalazło się coś w rodzaju współczucia dla nas z powodu nieszczęścia, które spadło na Polskę. Słyszając, po co jedziemy do Beresteczka, gospodyni gotowa była odstąpić nam parę litrów nafty, jeżeli jej zakup okazałby się niemożliwy.

Sprawy pomyślny przebieg. Zakupiona nafta wypełniła po sam wierzch dziesięciolitrową, blaszaną bańkę. Oprócz nafty do oświetlenia posłużą również mniejsze

i większe świeczki, których sporo na zapas odstąpili nam beresteccy znajomi. Jakieś jeszcze pakunki lokował tato na saniach. Osobne zawiniątko stanowiły pakieciki opłatków nabytych u plebana. Dla nas i dla sąsiadów. Tatę zadawała ten cały nabytek, ale widziałem, że o wiele bardziej był zadowolony z rozmów, które przeprowadził na osobności z paroma przyjaciółmi. Do nich należał były sekretarz gminy, Kochański. W moich oczach jawił się on, jako człowiek o dużym autorytecie. Ilekroć wypadło mu odwiedzić nasz dom na wsi, zawsze imponował mi rozległą wiedzą i czytaniem. Sprawdzał moje postępy w nauce szkolnej, stawał się moim egzaminatorem z geografii, historii, bieżących wydarzeń w Polsce i świecie. Zapytany przeze mnie o cokolwiek, umiał dać odpowiedź jasną i pełną. Właśnie u niego ojciec zatrzymał się teraz najdłużej.

W oddzielnej izbie rozprawiali zawięcie przyciszonym głosem, podczas gdy na mnie ciążył obowiązek wychodzenia raz po raz na dwór i dorzucania obroku naszym gniadym, które pozostawały przy saniach okryte grubymi derkami, bo mróz pod wieczór brał coraz większy. Wreszcie gospodarz domu pożegnał wyraźnie zadowolonego ojca, poklepał też moje ramię i życzył nam szczęśliwej drogi powrotnej.

Wracaliśmy do domu. W czasie jazdy tato nie wyznał mi, o czym rozmawiał z Kochańskim, choć dobrze wiedział, że rozpięra mnie ciekawość. Napomknął tylko, że od zaprzyjaźnionych osób w pełnym zaufaniu uzyskał sporo ciekawych informacji. Nie sposób zresztą było mówić i słuchać przy smagającym twarz mroźnym wietrze

i skrzypiącym śniegu pod płozami sań. W czapach – uszankach, kryjąc głowy w podniesione kołnierze, z wystającymi tylko czubkami nosów i odsłoniętymi oczami, przywarliśmy do siedzeń, a konie rwały szparko po nieco przetartych za dnia, zlodowaciałych koleinach. Przed północą mama z resztą domowników cieszyła się naszym powrotem. Gorąca zupa szybko nas rozgrzała. Przy rozpalonym piecu kuchennym odzyskiwałem czucie w palcach nóg, skostniałych na trzaskającym mrozie, mimo że chronić je miały grube onuce do juchtowych butów, długa burka wełniana i ciepły koc podróżny do otulania stóp, łydek i kolan.

Nim poszliśmy spać, tato zwrócił się do nas wszystkich i powiedział:

– Dopiero teraz, po rozmowie z Kochańskim, mam całkowitą pewność, że we Francji powstał rząd polski, że premierem rządu i naczelnym wodzem formowanej tam polskiej armii jest generał Sikorski i że świat o Polsce i Polakach nie zapomniał. A więc śpijmy dziś spokojnie!

Rzeczywiście, ta noc i kilka następujących upłynęło nam bez zakłóceń. Nastął dzień wigilijny. Miała się ku końcowi przedświąteczna krzątanina, tym razem pozbawiona – jako się wcześniej rzekło – owych radosnych podnieceń, czy choćby pogodnej nastrojowości. Niby ta sama wigilia, a jednak inna, nie taka sama.

Na dowód, że ta sama, mieliśmy wystrójoną choinkę, która oczekiwała na rozbłyśnięcie płomykami świeczek z chwilą, gdy któryś z domowników wypatrzy pierwszą gwiazdę na wieczornym niebie. Dalej – mieliśmy zastawiony w kuchni i przygotowany do

wieczery wigilijnej masywny, dębowy stół z garścią łąkowego siana i opłatkami po środku. Resztę środkowej długości stołu zajmowały dwa naczynia z potrawami rybnymi: w jednym śledzie w oleju przełożone pokrojoną cebulą, w drugim przyrządzona w galarecie mieszanina wyłowionych z przerebli rzecznej ryb – płotek, okoni, leszczy, krasnopiórek. Z parujących garnków ustawionych na kuchennej płycie niósł się łechtający podniebienie zapach czerwonego barszczu, łazankowych klusek z makiem, odcedzonych ziemniaków, gotowanej kapusty kiszzonej z dodatkiem suszonych grzybów i rozmaitych przypraw. Prócz tego stał jeszcze garniec ukraińskiej kuti osłodzonej miodem, stała kopiasta micha z uszkami do barszczu. Obrzeże chlebowego pieca w sieni zastawione było wypieczonym na brązowo ciastem z mąki pszennej.

Ale co innego w tej wigilii świadczyło, że przestała być i nie będzie taka sama, jak dotychczas. Ledwie mama wzięła do ręki opłatek, by dzielić się z nami, jej pierwsze słowa życzeń przeszły w głośny płacz. Długo nie dawała się uspokoić. Targał nią raptowny nawrót wewnętrznych obaw i lęków o los krewnych w Pasiece Otfinowskiej nad Dunajcem.

– My tu sobie przy ciepłym piecu za stół siadamy – lamentowała – a tam u nich może chłód, głód, pogorzeliśko i żałoba wielka...

Upływał już czwarty miesiąc, a stamtąd żadnego znaku życia. Dla mamy było tego za wiele. Przywykła do częstej wymiany listów i kartek pocztowych. Sama pisała i nas zatrudniała do pisania. Na adresy członków

bliskiej i dalszej rodziny w tarnowskich stronach słałiśmy od września list za listem, jednak wciąż bez odzewu. Nie trafiła do nas ani jedna kartka z życzeniami świątecznymi. Tych życzeń najbardziej teraz mamie brakowało. Kiedy w poprzednich latach łamaliśmy się opłatkiem wigilijnym, mama zawsze miała pod ręką plik świeżo nadesłanych kart świątecznych. One niejako zaznaczały obecność wśród nas całej gromady krewniaków, dokumentowały trwałość rodzinnej więzi po tym, gdy rodzice opuszczając swe gniazda nad Dunajcem, wybrali daleki Wołyń na stałe osiedlenie. Zerwana więź z szerszym kręgiem rodzinnym, i to jeszcze w tak dramatycznych okolicznościach wojennych, musiała odmienić atmosferę wieczoru wigilijnego. Mimo obfitości jadała, zestawu tradycyjnych potraw, migotliwego blasku choinki – nikomu z nas nie udało się wykrzesać świątecznej radości. Kolędy zaczynane gromkim głosem i wesołą melodią szybko uciszały się i gasły, jak gaśnie strzelisty płomień ogniska, kiedy zawiruje nad nim czarna, burzowa chmura zsyłająca nawałnicę klęskowej ulewy i gradu.

Smutek wyzierał ze wszystkich domowych kątów. Ciężył na wigilii i dwóch świątecznych dniach niczym ciężki kamień zwalony na umęczone piersi.

Po Bożym Narodzeniu śnieg gęsty padał nieustannie. Biały, puszysty całun pokrył grubą warstwą pola i drogi. Czy to z powodu zaspanych dróg, czy też może z innych przyczyn nie pojawili się w naszej osadzie kołędnicy. Odmieniło się i pod tym względem.

Inaczej bywało w poprzednich la-

tach. Od świąt do samego końca grudnia odwiedzały nas kilkuosobowe grupy podrostków z Kołmowa, pobliskich Nowosiołek i starej wsi Łobaczówki. Każdą grupę wiodła, niesiona na wysokim kiju, w tekturze wycięta gwiazda złocistą farbą malowana. Na ten widok otwierały się drzwi domów, by słuchać kolęd śpiewanych chłopięcym głosem w mieszanym polsko-ukraińskim języku, który nazywano tutejszym. Kto czym mógł nagradzał strudzonych śpiewaków. Odpłacano im groszowymi monetami, słodkim poczęstunkiem i jadłem świątecznym. W ślad za kolędnikami, gdy wieczór zapadł, do drzwi i okien stukali przebierańcy. Ale to już była nasza, miejscowych chłopaków, zabawa. Wdziewaliśmy na siebie, co komu pasowało: starą suknię matczyną, białe prześcieradło, dziurawą płachtę do noszenia plew i siana, zniszczony kozuch ojca kudłami na wierzch. Twarze i całe głowy ukryte w maskach własnoręcznie wykonanych czyniły z przebierańca wiedźmę, śmierć z kosą, diabła rogatego, niedźwiedzia z wielkimi zębami lub jeszcze inne straszdyło. Przed takimi przebierańcami bojaźliwe dziewczęta czmychały z piskiem, dzieciarnia wrzask podnosiła, zanim jej ktoś nie wytłumaczył, że to wszystko na niby.

Tym razem i kolędnicy gdzieś się zapodzieli, i nam odeszła ochota do wesołych zgrywów. Nie czas był na przebieranie i straszenie maluczkich. Dostatecznie wystraszyła nas wrześnieowa rzeczywistość. Straszyl jej dalszy ciąg. Tego nam w zupełności starczyło na dni poświęczone – ostatnie dni trzydziestego dziewiątego roku.

Chociaż ten rok kończył się nie tak,

jak lata poprzednie, jeden obyczajowy szczególnie zdołał się zachować. W Sylwestra nikt w naszej osadzie i okolicznych wsiach zabaw hucznych nie urządził, za to było w tutejszym zwyczaju odwiedzanie domów i składanie noworocznych życzeń. Czynili to młodzi Ukraińcy, przeważnie chłopcy w wieku szkolnym, których nie odstraszały zawiane śniegiem drogi. Wyruszały w obchód swojej i sąsiednich wiosek. Teraz pojawiło się ich o wiele mniej niż zawsze. Kilku zaledwie trafiło do naszego domu. Z uroczystym namaszczeniem wypowiadali różne wierszowane pozdrowienia życzenia z powtarzanym często motywem:

*Siju, siju, posiwaju,  
z nowym rokiem pozdrawlaju...*

Wypowiadając te słowa, młody przybysz wydobywał z kieszeni lub zawieszanej przez ramię torby szczyptę owsianego ziarna i ruchem siewcy rozrzucał je po mieszkaniu, co oznaczało,

że w nadchodzącym roku życzy się wów pomyślnych i zbiorów obfitych. Oczywiście, za takie życzenia należała się nie tylko słowna podzięką.

Przy wszystkim, co przyniósł nam fatalny, już kończący się i żegnany rok, przynajmniej dobrych życzeń na przyszłość nie zabrakło. Składaliśmy je sobie nawzajem w domu i sporo ich przyjmowaliśmy od bliskich sąsiadów, od miejscowych ludzi serdecznie z nami zaprzyjaźnionych, a nawet od ledwie nam znanych z widzenia ukraińskich chłopów.

Z czym-że więc mamy wkraczać w dni i miesiące nowego roku czterdziestego? Z nadzieją, że chociaż mała cząstka życzeniowych słów nie uleci bezpowrotnie w zimową dal, zatrzyma się między nami i przyoblecze się w jakiś rzeczywisty kształt. Oby dobre słowa ciałem się stały...

*Na tym kończymy przedruk fragmentów książki Pana Józefa Anioła.*